

Autor: [RadaVonVon](#)

Tłumaczenie: Kaczy

Social Standards

Część druga

Kolejne fazy mojego dzieciństwa miały jak zmieniające się pory roku. Gdzieś w międzyczasie nauczyłem się trzymać język za zębami, kiedy przychodziło poruszać choć trochę kontrowersyjne kwestie.

Nie można było powiedzieć o mnie, że się obijałem. Wprost przeciwnie. Harowałem ciężko. Doszedłem w końcu do takiej wprawy, że mogłem obkoczyć pół sadu w godzinę. Jako żrebak wiele czasu spędziłem na strząsaniu jabłek, siewach i zbiorach – zazwyczaj od rana do świtu, dopóki dopóty zmęczenie nie dopadało mojego organizmu, zmuszając go do odpoczynku.

Me życie wypełniał stukot kopyt o twarde, zakurzone ścieżki. Przecinały cały ogród, biegnąc pomiędzy drzewami, które roznosiły cudowną woń jabłek. Jeśli udało się biec wystarczająco szybko, wiatr rozwiewający grzywę chłodził przyjemnie, wysuszając krople potu i układając zmierzchwione futro.

Może zabrzmiałoby głupio, ale kochałem Appleloosę. Zresztą nadal ją Kocham. Jest moim domem. Może nie była dla mnie najprzyjaźniejsza, ale w dalszym ciągu - \ to tam się urodziłem. Tam czułem się najlepiej. Po tych szczególnych wydarzeniach z dzieciństwa, zachowywałem się tak, jak na normalnego żrebaka przystało: kiedy trzeba było w odpowiednim momencie uśmiechać się do klaczy – robiłem to, nie wywlekałem już tej trapiącej mnie kwestii na wierzch.

Z całych swoich sił próbowałem obdarzyć szczerym zainteresowaniem klacze. Jednak, kiedy rozmawiałem z jakąś, często pomimo wyczuwania wyraźnego flirtu z jej strony, nie umiałem nawiązać sympatii. Po prostu się nie dało. One wszystkie były miłymi, urodziwymi kucykami, więc nie o wygląd tu chodziło.

Zacząłem sam sobie zaprzeczać. Po prostu ta jedyna i wyjątkowa klacz jeszcze nie nadeszła. Tak wmawiałem sobie, tak też mówiłem innym. Być może to dlatego ochoczo wybrałem się z wizytą do Ponyville, gdy Applejack postanowiła przedstawić mnie swoim przyjaciółkom.

Appleloosa rozwijała się cicho i spokojnie, odkąd zażegnano sprzeczkę z bizonami. Udało nam się doprowadzić do sprawiedliwej ugody, w której tereny ich dotychczasowych gonitw przeszły na użytek wspólny. Nie było już więcej kłopotów z pociągami, dzięki czemu w końcu mogły kursować trzy razy dziennie: dwa prosto do Canterlotu, a jeden do Ponyville.

Spowodowało to istną powódź podróżujących w obie strony kucyków, zwłaszcza podczas sezonu Zap jabłek. Ja i moja rodzinka, zajmowaliśmy się produkcją dżemu, ciast, placków i innych pieczonych słodkości. Miało to sens, zważywszy, że byliśmy jedynymi krewniakami rodziny Apple w całym miasteczku, którzy to osiedlili się tutaj niedługo po zamieszkaniu w Ponyville. Pewna grupka kucyków stwierdziła, że zabudowane miasto pośród gór nieco ich przytłaczało, pragnęli zwyczajnie prostszego życia. Nie dziwię się im.

Ci wszyscy osadnicy, to prostolinijne, nudne kucyki, których żony siedziały w domach by sprzątać, gotować i opiekować się potomstwem. Dzieci dorastały i cykl powtarzał się ponownie.

Pewnie, można było spotkać od czasu do czasu stare panny, otoczone chmurą absorbujących je kotów, grające od czasu do czasu w szachy, czy inne gry stołowe z podobnymi im starymi kawalerami. Moja rodzina obawiała się, że i ja nim zostanę. Jako nastolatka nie obchodziły mnie miłostki, najzwyczajniej w świecie skupiłem się na ciężkiej pracy.

Wszystkim kucykom w moim otoczeniu, a zwłaszcza rodzicom i kuzynostwu, wydawało się to nie w porządku. Rodzinne swatki wielokrotnie próbowały zaaranżować moje spotkania z klaczami, a ja zawsze czułem się źle na obiadach z nimi, dając tym starym pleciugom powody do plotek. Zazwyczaj umawiały mnie z jedną i tą samą kandydatką, która najwyraźniej uważała, że ulubiony kolor i zbieżność imion stanowią przesłankę do stworzenia związku.

W końcu, po odrzuceniu kolejnego zaproszenia na „kawę” i ku rozczarowaniu rodziców, Applejack oznajmiła, że ma już tego dosyć. Dostałem od niej list, w którym domagała się, bym złożył wizytę w Ponyville i poznał jej przyjaciółkę, której spodobałem się podczas jej ostatniej wizyty w Appleloosie. Dodała jeszcze, że powinienem zostać tam kilka tygodni.

I tak nie miałem nic lepszego do roboty, zadeklarowałem się więc z udawaną radością, że złożę tam wizytę. Zresztą, rodzice i tak nie dawali mi większego wyboru. Powiedzieli, że potrzebuję „małych wakacji”. Wczesnym, będącym początkiem zimy, mglistym, sobotnim porankiem, wsiałem do pociągu jadącego w kierunku Ponyville. Było już po zbiorach, zdążył nawet spaść pierwszy drobny śnieg, który roztopił się i zamarzł ponownie, tworząc kruchą, lodową pokrywę, trzaskającą jak szkło przy każdym kroku.

Przejażdżka była dość głośna i trzęsąca, głównie ze względu na lód poprzymarzany do kół. Od czasu do czasu lokomotywa uderzała twardo i z łoskotem w kamienie, wstrząsając tym samym całym składem. Jako dość cierpliwy kucyk, zadowalałem się rozrywką płynącą z oglądania krajobrazów za oknem, nawet pomimo donośnego chrapania wąsatej postaci w drugim kącie przedziału. Z łatwością zapominałem o regularnym, przenikliwym stukocie, pograżając się w zamyśleniu nad fauną, której obrazy przesuwwały się i migały przed oczyma w zawrotnym tempie.

Nigdy wcześniej nie byłem w Ponyville – wiem, ciężko w to uwierzyć. To Applejack i MacIntosh zawsze przyjeżdżali do mnie, do Appleloosy. Po prostu nigdy nie czułem się dobrze z myślą opuszczenia miasteczka, było to jedyne miejsce, którego potrzebowałem – ponieważ miało wszystko to, co było mi potrzebne. Czasem czułem się trochę osamotniony, ale zawsze miałem rodziców i kilku innych znajomych, z którymi zbijałem jabłka z drzew.

Mimo tego, nie miałem wątpliwości, kiedy wjechaliśmy do Ponyville. Zobaczyłem istne tłumy jednorożców i pegazów, wymieszanych równo z kucykami ziemnymi. Przyznam, dość nietypowy widok dla mnie, przyzwyczajonego do zdecydowanej dominacji tych ostatnich.

Pociąg zaczął hamować. Krępowany hamulcami, próbował jakby wyrwać się do przodu, wydając z siebie przenikliwy zgrzyt. Po chwili zastygł bez ruchu, jak słup soli. Okolica, pokryta grubą warstwą śniegu, raziła swą jasnością po oczach. Kucki na peronie poubierane były w czapki, szaliki, nauszniki i zimowe buty. Ucieszyłem się, że mam na sobie swój kapelusz, jednak pojawiła się obawa, że moja kamizelka to trochę za mało na pogodę panującą na zewnątrz, w końcu wyglądało na to, że jest znacznie zimniej niż w Appleloosie.

Przystawiłem kopyto do okna. Lodowate. Przeciągnąłem je w dół po szybie, zostawiając wilgotny, mglisty ślad, na widok którego, aż się wzdrygnąłem. Gapiąc się we własne odbicie w zamarzniętym oknie, nagle przypomniałem sobie, kiedy jako dziecko odkryłem, jaki mam kolor

oczu. Dotąd śpiąc na ukos ode mnie zielony ogier obudził się, mlaskając doniośle i głośno, po czym wstał na cztery kopyta, przetaił oczy i wyszedł z przedziału.

Westchnąłem, wyciągając spod siedzenia bagaże, by zacząć przepychać się na peron przez tłoczących się pasażerów. Na Celestię, było zimno. Mogłem przewidzieć taką pogodę. Drżąc przeszedłem kilka kroków, gdy usłyszałem gdzieś pośród ogólnego zgietku swoje imię.

- Brae! Braeburn! - głos Applejack wydawał się odległy, jednak mogłem rozróżnić, że nadchodził z prawej strony. Zastrzygłem uszami, zanim spostrzegłem gdzieś pośród tłumu znajomą, pomarańczową głowę.

- Hej, kuzynko! - zacząłem, zarzucając kopyta wokół jej szyi i ściskając ją mocno, zapominając o mrozie.

- Witaj - odparła, uwalniając się spod moich ramion i uśmiechając się w głupkowaty sposób, jak zwykle zresztą. Piegi na jej nosie – które pamiętałem z dzieciństwa - zniknęły, (mimo to, jej policzki dalej zdobiły małe, jasne kropki) w jakiś sposób dając jej bardziej dojrzały wygląd. - Jak się miewasz, Brae?

- Całkiem dobrze – uśmiechnąłem się. - A ty?

- Nie gorzej. Wszyscy przygotowaliśmy się już na twój przyjazd. Polubisz tę klacz, o której ci wspominałam. Jest naprawdę urocza, i w dodatku zupełnie taka jak ty. Pracuje ciężko, przynajmniej od czasu do czasu – dodała pod nosem – i myślę, że nie potrzebuje nikogo innego niż ty.

Spochmurniałem, na taki obrotom akcji, choć powinienem był się go spodziewać. Szczęśliwie, ugryzłem się w język:

- Naprawdę? Któż taki jest tym szczęśliwym kucykiem?

- Rainbow Dash. Ostatnio stała się jakby wrażliwsza, więc wiesz, uważaj tam – szturchnęła mnie. - Będzie u nas na obiedzie. Przedtem odprowadzę Babcię Smith do klubu staruszka, jest umówiona ze swoimi przyjaciółmi na grę w bingo, tak więc w domu będziemy ty, ja, Mac i Applebloom – urwała nagle, na jej twarzy zagościł złośliwy uśmieszek. - Ale wiesz, gdybyście potrzebowali chwili na osobności, wystarczy tylko wspomnieć, zostawimy was samych.

Zaczerwieniłem się z lekka.

- Eeemm... – odbąknąłem. - P-pewnie, AJ, będę pamiętał. - Wyobraziwszy to sobie, z lekkim zaniepokojeniem skierowałem wzrok w ziemię tuż przed swoimi kopytami. Applejack przewróciła oczami i powiedziała z lekkim wyrzutem::

- Coś mocno wrażliwy jesteś.

- Tak... Po prostu nie czuję się komfortowo w tych sprawach, zresztą wiesz o tym.

- Fakt. Przepraszam – wymamrotała. - Tylko się wygłupiam, Brae.

- W porządku. Pamiętam Rainbow Dash całkiem dobrze. Czy uprzedzałaś ją o swoich, no wiesz, zamiarach?

- Szczerze, to ona ma zamiary wobec ciebie. Powiedziała mi, że troszkę rozmarzyła się o

tobie, podczas pobytu w Appleloosie. Jest czasem trochę zadziorna i ma dość prostoliniyny, gwałtowny charakter, ale nie myśl przez to, że zdobędziesz ją ot tak. Więc kiedy się o tym dowiedziałam, postanowiłam, że przekażę ci jej propozycję.

- W porządku, myślę, że mogę spróbować poznać ją lepiej – wymamrotałem cicho. Już wiedziałem, jak to się skończy. Rainbow wydawała mi się całkiem miłą, zwłaszcza ze swoją pomocą przy konflikcie z bizonami, ale i tak pewnikiem było, że nic do niej nie poczuję.

Miałem tylko nadzieję, że nie zranię jej uczuć i powrócę do mojego codziennego życia, czyli pracy w Appleloosie.

- Jesteśmy – poinformowała Applejack, wrywając mnie z zamyślonego wpatrywania się w ziemię.

Spojrzałem przed siebie.

- Wow, AJ, to miejsce faktycznie wygląda tak, jak mi opowiadałaś. - Było ogromne. Po mojej prawej stronie stała zagroda dla świń. Była otoczona spiczastym płotkiem, pomalowanym czerwoną farbą, która odeszła w wielu miejscach, zostawiając gołe drewno. Wysuszone, zmrożone błoto leżało rozbryzgane wokół, podczas gdy różowe i brązowe stworzenia radośnie taplały się w nim. Umysł splątał mi figla, jak się okazało nie wszystko było zamrożone.

W rzadkich, nieośnieżonych połaciach ziemi widniała martwa, żółta trawa. Podłoże stanowiło suchy, zimny, biały proszek, jednak po nadeptnięciu moje kopyta wgłębiły się w lodowate błocko tuż pod jego powierzchnią.

Krajobraz po lewej to rozciągające się po horyzont pola. Kukurydza, marchew, ziemniaki... Mógłbym nazwać je wszystkie. Beły siana leżały zaraz obok dużej sterty czegoś niezidentyfikowanego przy pomarańczowym kurniku. Był on pokryty podobnej jakości farbą, co miniony wcześniej płot. Tabliczka z namalowanym na niej jajkiem dyndała powoli, zawieszona na dwóch łańcuszkach pod belką.

W końcu ujrzałem sad pełen jabłoni. Do moich nozdrzy dotarł najwspanialszy zapach świeżych owoców. Oczywiście teraz nie było ich na drzewach, jednak pewna nuta słodkiej woni przywiewana była przez wiatr, zupełnie jak jakieś odległe wspomnienie...

Wzgórza ciągnęły się w nieskończoność, zlewając się z chmurami w oddali. Westchnąłem cicho, czując odprężenie, powoli napływające do mięśni po długiej podróży. Skierowaliśmy się do okazałego, w jakiś sposób przyjaźnie wyglądającego domu.

Zastałem całą resztę rodziny siedzącą w przedsionku. Applebloom, ujrawszy mnie, pisnęła z wrażenia:

- Wujek Braeburn! - jej kokardka podskakiwała w rytm biegu małej klaczki. Zawiesiła mi się na szyi w uścisku. - Cześć wujku! Już prawie mam swój uroczy znaczek! - W zasadzie byliśmy wobec siebie kuzynami, jednak mała Applebloom z racji na dzielącą nas różnicę wieku nazywała mnie po prostu „wujkiem”.

- Naprawdę? - Wyprostowałem się, gładząc małą po głowie. Zrobiwszy kilka kroków, ciągle z brązową torbą przewieszoną przez plecy, kiwnąłem Big Mackowi. Applebloom ciągle szczebiotała coś o jej przyjaciółkach i ich znaczkach, o przygodach związanych z ich odnajdywaniem.

Mackintosh odwzajemnił pozdrowienie. „Nndobry” - powiedział szorstkim, choć przyjacielskim tonem. Z całą pewnością był to ten sam Mackintosh, którego pamiętałem z dzieciństwa.

- Dobry i tobie, Mac – uśmiechnąłem się, dygając jeszcze raz kapeluszem do wyższego ode mnie ogiera. Babcia Smith podniosła się z bujanego fotela, na jej twarzy zagościła radosna mina.

- Czy to nie nasz Braeburn? Jak tam Appleloosa, synu? - uśmiechnęła się szeroko, wystawiając na widok swoje protezy. Roześmiałem się szczerze i delikatnie uściśkałem staruszkę. Zawsze wydawała się taka słaba, zupełnie jakby jej kości miały posypać się w proch przy najmniejszym dotyku... a jednak trzymała się dobrze.

- Tak jak zawsze, Babciu, czyli znakomicie – odparłem, po czym odwróciłem się do Applejack. - Więc, gdzie będę mógł zanoć w tym zacnym przybytku? - poczułem jakby narastającą swojskość, w miarę jak zdawałem sobie sprawę z poczucia rodzinnego bezpieczeństwa w tym miejscu.

- Cóż, debatowaliśmy na ten temat, Brae – odparła Applejack. - Zastanawialiśmy, czy nie wcisnąć cię do pokoju Maca, ale jest piekielnie zabałaganiony – tutaj klacz spojrzała karcąco na czerwonego ogiera, który tylko przewrócił oczami i począł zapalczywiej niż dotychczas żuć źdźbło zboża. - Pomyśleliśmy więc, że najwygodniej będzie ci się spało na kanapie.

- To nie problem kuzynko, nie chciałbym komukolwiek przeszkadzać. Jestem tutaj tylko gościem – kiwnąłem głową – to wasz dom.

- Braebunie Apple! - wystrzeliła głośno Babcia Smith, po czym kulejąc lekko, podeszła do mnie. Zmrużyła oczy, a na jej twarzy zagościł grymas, zupełnie jakby poczuła niemiły zapach. - To twój dom! Jesteś tutaj zawsze mile widziany! - niemalże krzyczała. - Nigdy nie zostawimy cię w potrzebie, jeśli tylko będziesz chciał tu zostać – po prostu powiedz! - powiedziawszy to, zarzuciła wokół mojego karku kopyto.

- Dzięki, babciu – uśmiechnąłem się, grzecznie wyślizgując spod jej uścisku. Zwróciłem się z powrotem w stronę Applebloom. - Więc o co chodziło ze Scootaloo?

- Słuchałeś! Nikt nigdy mnie nie słuchał! - mała uśmiechnęła się szeroko.

Babcia Smith klepnęła ją lekko z tyłu głowy.

- To nieprawda, dobrze o tym wiesz!

Applebloom skrzywiła się lekko, dokładnie w tym samym momencie co ja. Sam nie wiem, czemu. Minęła krótka chwila ciszy, zanim Babcia Smith spojrzała na mnie i zapytała:

- Jak tam się miewa Apple Blossom? Musi nas wkrótce odwiedzić z twoim ojcem – domagała się, siadając na swój bujany fotel.

- Przekażę im to. - Zdałem sobie sprawę, jak chłodno zabrzmiały moje słowa. Wzdrygnąłem się raz jeszcze. - Wybaczcie, jest tu tyćko zimniej niż w Appleloosie – wymamrotałem, szczękając zębami. Poczułem gęsią skórę pod moim futrem, stopniowo stawiającą każdy włos na sztorc.

- Brae, czemuś nie powiedział tego wcześniej? - zaśmiała się Applejack. - Odmrażam tu sobie swoje znaczkę, myśląc, że chcesz podziwiać dom, czy coś. Chodź więc do środka – podeszła do drzwi, by pchnąć je lekko, rozwierając na oścież. Applebloom z Macintoshem i Babcią nie

kwapili się, by wejść do środka jako pierwsi. Nie protestowałem.

Zbawienna fala ciepłego powietrza owiała mnie całego, kiedy postawiłem kilka kroków na przód. Cały dom zbudowany był z jakiegoś gatunku ciemnego drewna. Moim oczom ukazały się schody prowadzące gdzieś na piętro wprost z salonu, w którym stał okryty białoczerwonym obrusem stół. Oprócz zastawy stał na nim nadpęknięty niebieski wazon, z wetkniętym weń pojedynczym żółtym kwiatkiem.

Meble pomalowane były ciepłymi kolorami. Łagodne barwy czerwieni, pomarańcza, żółci i brązu zdawały się rozjaśniać wnętrza. Firanki, powiązane supełkami do framug okien, wpuszczały do środka delikatne światło popołudniowej pory obiadowej.

AJ oklapła na rdzawego koloru kanapę, narzekając przez chwilę:

- Pracowałam cały dzień, Brae. Dzięki ci Celestio, dziś gotować będzie Mac. Wiesz, nie jest w tym aż tak zły, jak na ogiera przystało. Jego jedzenie może nie jest wykwintne, ale na pewno dobrze smakuje. Za to najlepszy cydr jaki piłam, wyszedł spod jego kopyta. Jego przyszła klacz nie będzie z nim miała kłopotu pod tym względem... kiedy już jakąś znajdzie – Applejack zatrzymała się na chwilę w zamyśleniu. - Więc, Brae, a co z tobą? W ogóle, polubiłeś Rainbow wtedy w Appleloosie?

Przygryzłem wargi.

- Tak, tak, polubiłem ją – wymamrotałem, niepewny siebie. - Myślę, że mogę polubić ją bardziej.

- Naprawdę? - Applejack uśmiechnęła się. - Będzie najszczęśliwszą klaczą na ziemi, kiedy jej to powiem. Uważała cię za najbardziej uroczą istotę w całej Equestrii, przez to była prawie pewna, że jesteś już żonaty, albo coś...

Poczułem ciepło, rozlewające się na mojej na twarzy.

- To... świetnie, AJ.

- À propos Rainbow, niedługo możemy spodziewać się wizyty pewnego regularnego gościa, amatora ciast – mówiąc to, kuzynka wstała z kanapy. - Powiedział, że wpadnie wcześniej. Za każdym razem, kiedy Wonderbolts odwiedzają miasto, odwiedza nas – w tym momencie rozległ się dźwięk gorączkowego pukania do drzwi. - Prawdopodobnie to on – dodała, przechodząc na wskroś pokoju, by przywitać gościa.

Pegaz wystrzelił przez drzwi.

- Applejack! - krzyknął, rozpościerając swe niebieskie skrzydła. - Potrzebuję ciasta! Potrzebuję... ee, och, eee... sześć! Sześć ciast! - wykrzykując, przebiegał w miejscu kopytami, dając upust swojemu podekscytowaniu.

- Spokojnie Soarin, mam to, czego potrzebujesz. - Applejack jak gdyby nigdy nic podeszła do kanapy, podnosząc leżącą na niej dużą torbę i podając ją gościowi. - Sześć ciast jabł...

Zanim skończyła zdanie, Soarin rzucił jej w twarz kopyto pełne monet. Za szybko, by mogła zareagować. Drobniki rozprysnęły się na wszystkie strony, tocząc we wszystkie zakątki pomieszczenia. Pegaz wydobył jeden z wypieków z opakowania, oddzielił je od blaszanej formy, która dźwięczała już na podłodze, by zatopić całą swoją twarz w cieście, mruczając z

ukontentowaniem.

Kawałki jedzenia rozpryskiwały się we wszystkich kierunkach, podczas gdy ogier przeżuwał i połykał, wydając niemalże zwierzęce dźwięki. W ciągu sekund, całe, duże, okrągłe ciasto zniknęło w przepaściach jego żołądka.

- O kurczę... - dosłownie opadła mi szczeka. - Co na Equestrię...

Applejack wydawała się niewzruszona tą dziwną sytuacją, spokojnie zbierając monety z podłogi. Soarin musiał sporo płacić, zazwyczaj takie zachowanie nieźle zdenerwowałoby kuzynkę, ale tym razem nie przejawiała oznak złości.

- Kto to? - spytał pegaz, dość nieelegancko wycierając swoją twarz kopytem, poprawiając przy okazji parę gogli spoczywających na jego czole. Skierował oczy na Applejack.

- To mój kuzyn, Braeburn – pomarańczowa klaczka uśmiechnęła się, podchodząc do mnie i mocno klepiąc mnie po „przyjacielsku” w plecy, aż podskoczyłem

- Miło mi cię spotkać, koleś – Soarin wyciągnął ku mnie lepiące się, pokryte ciastem kopyto.
- Na wypadek, gdybyś nie wiedział, jestem Soarin Windsong, jeden z ekipy Wonderboltsów. Zresztą, nie mogłeś o mnie nie słyszeć.

Zmarszczyłem z lekka czoło.

- Eee... Tak, słyszałem – wzdrygając się po raz enty, uściśnięłem jego kopyto. - Widzę, że lubisz ciasta AJ, nieprawdaż? Robi najlepsze pod słońcem. A byłeś tutaj podczas sezonu na Zap jabłka?

- No pewnie – zaśmiał się. - Spróbowałem jeden z jej wypieków na Gali i w zasadzie uzależniłem się. Za każdym razem, kiedy jestem w Ponyville, kupuję zapas. Wiesz, zbliża się występ z okazji Przesilenia Zimowego – mówiąc to, podniósł z podłogi formę i zaczął zlizywać z jej wnętrza zawartość. Cofnąłem się o krok. - Będziesz może? Pokaz będzie świetny.

- Najprawdopodobniej – wymamrotałem powoli, w dalszym ciągu zniesmaczony jego zachowaniem. Zawsze wychowywano mnie, bym umiał okazać się jako-taką ogładą i manierami. On najwyraźniej nigdy o nich nie słyszał, co zszokowało, jeśli tak to mogę nazwać.

- Soarinie, pozwól, że podam ci ręcznik... - powiedziała z westchnięciem Applejack, mocząc z lekka w zlewie kawałek materiału i podając go pegazowi, który zresztą chętnie z niego skorzystał.

Zaraz gdy oddał go z powrotem kuzynce, podniósł torbę z ciastami ustawiając ją sobie na głowie.

- Stylowy kapelusz, co nie? - uśmiechnął się, odwracając ku pomarańczowej klaczce. - Dzięki, Jack – mrugnął do niej. Ta z kolei dygnęła się z ukrywaną odrazą.

- Możesz sobie pomarzyć, chłoptasiu – ucięła go, mrużąc oczy.

- No dobra, dobra – uśmiechnął się. - Możesz chociaż zawiązać na kokardkę? - spytał, wskazując na obiekt na swojej głowie. Będzie trochę przeszkadzać podczas lotu, ale czego się nie robi dla ciasta!

Znów rozległ się dźwięk pukania w drzwi. Applejack uśmiechnęła się z ulgą, otwierając je, by wpuścić do środka znajomo wyglądającą, tęczowogrzywą pegazicę.

- Dobra, AJ, nie chcę znów przeszkadzać, chcę tylko spytać jeszcze, czy wiesz, jaki jest ulubiony kolor Braeburna!

Kuzynka zastygła na chwilę bez ruchu. Nie przestając patrzeć na Rainbow, kiwnęła głową w moją stronę. Ta odwróciła się powoli, mierząc mnie wzrokiem z jej różanych oczu.

- Och. Hehe. Braeburn. Cześć – na jej policzkach zagościł rumieniec. Zamrugła nerwowo, by sekundę później spostrzec stojącego tuż obok Soarina.

- O. MÓJ. BOZIU – prawie podskoczyła z wrażenia. Pegaz w uniformie jedynie uśmiechnął się lekko, z widoczną satysfakcją. - To... ty! - zapiszczała, zupełnie zapominając o mnie. - TY! SOARIN! Soarin Windsong! Stojący tutaj! AJ powiedziała mi, że tu bywasz, ale zawsze się mijaliśmy i... O MÓJ BOZIUUUU! - wydała z siebie rozradowany, entuzjastyczny krzyk, ciesząc się z obecności niebieskiego pegaza, z zawiązaną na kokardę brązową torbą na szczycie jego głowy.

Applejack spojrzała w moją stronę, po czym zwróciła głowę w kierunku Rainbow - teraz z błyszczącymi oczami wychwalającej niemo Soarina. Po chwili przewróciła oczami i powróciła do zbierania okruchów porzucanych po podłodze.